

Diaboliada



MICHAŁ BUŁHAKOW

Diaboliada

POWIEŚĆ O TYM, JAK BLIŹNIACY ZGUBILI REFERENTA

TŁUM. EDMUND JEZIERSKI

I. WYPADEK DNIA 20

W czasie owym, kiedy wszyscy ludzie skakali z jednej posady na drugą, towarzysz Korotkow mocno siedział w Głównym Centralnym Bazyli (Główna Centralna Baza Materiałów Zapalniczych) na etatowym stanowisku referenta i przesłużył w nim całe 11 miesięcy.

Zagrawszy miejsce w Spimacie, delikatny, cichy blondyn Korotkow w zupełności wypędził z swej duszy myśl, że istnieją na świecie tak zwane przewrotności losu, i zaszczerpił sobie w zamian przekonanie, że on — Korotkow — urzędować będzie w bazie do końca życia na kuli ziemskiej. Lecz, niestety, wyszło zupełnie nie tak...

20 września 1921 r. kasjer Spimatu nakrył głowę swą wstrętną uszatą czapką, włożył do portfela przegowaną asygnatę i wyjechał. Działo się to o godz. 11 po północy.

Powrócił zaś kasjer o godz. 4 i ½ po południu, zupełnie mokry. Po przyjeździe, otrząsnąwszy z czapki wodę, położył czapkę na stole, a na czapce — teczkę i rzekł:

— Nie napierajcie, panowie.

Potem szukał czegoś na stole, wyszedł z pokoju i powrócił po kwadransie z wielką martwą kurą z ukreconą szyją. Kurę położył na tezcze, na kurze prawą rękę i wyrzekł:

— Pienędzy nie będzie.

— Jutro? — chórem zawołały kobiety.

— Nie — kasjer pokręcił głową — i jutro nie będzie, i pojutrze. Nie napierajcie, panowie, a to wy mi, towarzysze, stół przewróćcie.

— Jak to? — zawołali wszyscy i w tej liczbie naiwny Korotkow.

— Obywatele! — płaczącym głosem zaśpiewał kasjer i łokciem odepchnął Korotkova — przecież proszę!

— Więc jakżeż? — krzyknęli wszyscy i najgłośniej ze wszystkich ten komik Korotkow.

— No, proszę bardzo — ochryple zamruczał kasjer i wyciągnąwszy z portfela asygnatę, pokazał ją Korotkowi.

Nad tym miejscem, na które wskazywał brudny paznokieć kasjera, na ukos napisane było czerwonym atramentem:

„Wydać. Za S. Subbotnikowa — Senat”.

Niżej fioletowym napisane było:

„Pienędzy nie ma. Za tow. Iwanowa — Smirnow”.

— Jak to? — krzyknął sam Korotkow, a pozostali, sapiąc, napanarli na kasjera.

— Ach, ty, Boże! — w zmieszaniu zawołał tenże — cóż jam tu winien? Mój ty Boże!

Spiesznie wsunąwszy asygnatę do teczki, nakrył się czapką, teczkę wsunął pod pachę, machnął kurą, krzyknął:

— Przepuście, proszę bardzo! — i zrobiwszy wylom w żywej ścianie, znikł w drzwiach.

Za nim z piskiem pobiegła błada dziennikarka na wysokich spiczastych obcasach, lewy obcas przy samych drzwiach z chrzęstem odpadł, dziennikarka zachwiała się, podniosła nogę i zdjęła pantofel.

I w pokoju pozostała ona — bosa na jedną nogę i wszyscy pozostali, w tej liczbie i Korotkow.

II. PRODUKTY WYTWÓRCZOŚCI

W trzy dni po opisanym wypadku drzwi oddzielnego pokoju, w którym pracował towarzyszy Korotkow, uchyliły się i kobieta zapłakana głowa nienawistnie rzekła:

— Towarzyszu Korotkow, chodźcie odebrać pensję.

— Jak to? — radośnie zawołał Korotkow i, pogwizdując uverturę z *Carmen*, pobiegł do pokoju z napisem: „kasa”. Przy biurku kasjera zatrzymał się i szeroko otworzył usta. Dwie grube kolumny, składające się z żółtych paczek, wznosiły się aż do samego sufitu. Ażeby nie odpowiadać na żadne zapytania, spocony i podniecony kasjer pinezką przypiął do ściany asygnatę, na której teraz widniał trzeci nadpis zielonym atramentem:

„Wydać produktami wytwórczości.
Za tow. Bogojawlenskawo — Preobrażenskij.
I ja przypuszczam — Krzesiński”.

Korotkow wyszedł od kasjera szeroko i głupio uśmiechając się. W rękach trzymał 4 wielkie żółte paczki, 5 malutkich zielonych, a w kieszeniach 13 niebieskich pudełek zapalek. W swoim pokoju przysłuchiwał się gwarowi zdumionych głosów w kancelarii, zapakował zapalki w dwa olbrzymie arkusze dzisiejszej gazety i, nie powiedziawszy nic nikomu, wyszedł z biura do domu. Przy bramie Spimatu omal nie wpadł pod samochód, którym ktoś przyjechał, lecz kto właściwie, Korotkow nie przyjrzał się.

Przyszedłszy do domu, wyłożył zapalki na stół i odszedłszy, przyglądał się im. Głupi uśmiech nie schodził z jego twarzy. Potem Korotkow nastroszył jasne swe włosy i rzekł sam do siebie:

— No, rozpaczać nie ma czego. Postaramy się je sprzedać.

Zastukał do sąsiadki swojej, Aleksandry Fiodorowny, pracującej w Gubwinskładzie.

— Proszę wejść — głucho odezwała się z pokoju.

Korotkow wszedł i zdumiał się. Wcześniej niż zwykle powróciwszy z biura, Aleksandra Fiodorowna w palcie i czapeczce siedziała w kucki na podłodze. Przed nią stał szereg butelek z korkami z papieru gazetowego, napełnionych płynem ciemnoczerwonego koloru. Twarz Aleksandry Fiodorowny była zapłakana.

— 46 — rzekła i zwróciła się do Korotkowa.

— To atrament?... Dzień dobry, Aleksandro Fiodorowno — wyrzekł zdumiony Korotkow.

— Cerkiewne wino — łkając, odpowiedziała sąsiadka.

— Jak to, i pani? — jęknął Korotkow.

— I panu cerkiewne? — zdumiała się Aleksandra Fiodorowna.

— Nam zapalki — przygasłym głosem odpowiedział Korotkow i pokręcił guzik u marynarki.

— Lecz przecież one się nie zapalają! — zawołała Aleksandra Fiodorowna, podnosząc się i otrzepując spódniczkę.

— Jak to tak, nie palą się? — przeraził się Korotkow i pobiegł do swego pokoju. Tam, nie tracąc ani chwili, schwytał pudełko, z trzaskiem rozpieczętował je i potarł zapalkę. Z syczeniem wybuchnęła zielonkawym płomieniem, złamała się i zgasła. Korotkow, dławiąc się żrącym zapachem siarki, chorobliwie zakasłał się i zapalił drugą. Ta wystrzeliła i dwa ognie wytrysnęły z niej. Pierwszy trafił w szybę okienną, a drugi — w lewe oko towarzysza Korotkowa.

— A-ach! — krzyknął Korotkow i upuścił pudełeczko.

Przez kilka chwil przebierał nogami jak gorący koń i zaciskał oczy dłonią. Potem z przerażeniem zajrzał do lusterka od golenia się, przekonany, że stracił oko. Lecz oko okazało się na miejscu. Prawda, było czerwone i płynęły z niego łzy.

— Ach, Boże mój! — zdenerwował się Korotkow, natychmiast wydobył z komody amerykański pakiet indywidualny, otworzył go, obwiązał lewą połowę głowy i stał się podobnym do rannego w bitwie.

Całą noc Korotkow nie gasił światła i leżał, pocierając zapalki. Potarł w ten sposób trzy pudełka, przy czym udało mu się zapalić 63 zapalki.

— Kłamie, głupia — mruczał Korotkow — znakomite zapalki.

Do rana pokój wypełnił się duszącym zapachem siarkowym. O świcie Korotkow zasnął i miał głupi, straszny sen: jakoby na zielonej łące znalazła się przed nim olbrzymia, żywa bila bilardowa na nóżkach. Było to tak złe, że Korotkow zaczął krzyczeć i obudził się. W mętnej mgłę jeszcze przez pięć sekund wydawało mu się, że bila jest tuż obok łóżka i bardzo mocno pachnie siarką. Lecz potem wszystko to zginęło; poprzewracawszy się, Korotkow zasnął i już nie budził się.

III. ŁYSY ZJAWIŁ SIĘ

Następnego dnia rano, Korotkow, zsunąwszy przepaskę, przekonał się, że oczy jego prawie że wyzdrowiały. Mimo to jednak nadmiernie ostrożny Korotkow postanowił przepaski tymczasem nie zdejmować.

Przybywszy do biura z olbrzymim opóźnieniem, sprytny Korotkow, ażeby nie wzbudzić fałszywych komentarzy wśród niższych funkcjonariuszy, udał się wprost do swego pokoju i na stole znalazł papier, w którym kierownik pododdziału kompletowania zapytywał zarządzającego bazą, czy będzie wydane maszynistkom umundurowanie. Po przeczytaniu papieru prawym okiem, Korotkow wziął go i udał się korytarzem do gabinetu zarządzającego bazą tow. Czekuszyna.

I oto przy samych drzwiach do gabinetu Korotkow spotkał się z nieznajomym, który zdumiał go swoim wyglądem.

Diabeł

Nieznajomy ten był tak niskiego wzrostu, że dosięgał wysokiemu Korotkowowi tylko do pasa. Brak wzrostu okupywała nadzwyczajna szerokość ramion nieznajomego. Tułów kwadratowy siedział na wykrzywionych nogach, przy czym lewa była chroma. Lecz najbardziej godna uwagi była głowa. Wyobrażała ona ścisły kolosalny model jajka, osadzonego na szyi prostopadle i ostrym końcem naprzód. Łysa była również jak jajko i o tyle błyszcząca, że na ciemieniu nieznajomego, nie gasnąc, płonęły lampki elektryczne. Miniaturowa twarz nieznajomego była wygolona do czysta i zielone, malutkie jak łebki szpilek oczy siedziały w głębokich zagłębieniach. Ciało nieznajomego przyodziane było w rozpięty, uszyty z szarej koldry french, spod którego wyglądała małosyjska haftowana koszula, nogi w spodniach z takiego samego materiału i niziutkich z wycięciem bucikach huzara z czasów Aleksandra I.

„T-typiek” — pomyślał Korotkow i podążył do drzwi Czekuszyna, starając się wyminać łysiego. Lecz ten zupełnie niespodziewanie zagroził drogę Korotkowowi.

— Co wam trzeba? — spytał łysy Korotkowi takim głosem, że nerwowo referent drgnął. Głos ten był zupełnie podobny do głosu miski miedzianej i odznaczał się takim tembrem, że każdy, kto go słyszał, przy każdym słowie uczuwał wzdłuż kręgosłupa wrażenie szorstkiego drutu. Oprócz tego Korotkowowi wydało się, że słowa nieznajomego pachną zapalnikami. Nie zważając na to wszystko, nieprzewidujący Korotkow zrobił to, czego w żadnym razie robić nie należało — obraził się.

— Hm... dość dziwne. Idę z papierem. A pozwoli pan dowiedzieć się, kto pan taki...

— A wy zobaczcie, co na drzwiach napisane?

Korotkow popatrzał na drzwi i zobaczył od dawna znany mu napis: „Bez meldowania nie wchodzić”.

— Ja też i idę z meldunkiem — odrzekł głupio Korotkow, wskazując na swój papier.

Łysy kwadratowy niespodziewanie rozgniewał się. Oczki jego wybuchnęły żółtawymi iskierkami.

— Wy, towarzyszu — rzekł, ogłuszając Korotkowi dźwiękami rondla — o tyle jesteście nierozwinięci, że nie rozumiecie znaczenia najprostszycy napisów służbowych. Stanowczo zdumiewam się, jakieście urzędowali dotychczas. W ogóle tu u was wiele rzeczy ciekawych, na przykład te podbite oczy na każdym kroku. No, nic, my to wszystko doprowadzimy do porządku. — („A-a!” jęknął w głębi duszy Korotkow). — Dawajcie tu!

I z ostatnimi słowy nieznajomy wyrwał z rąk Korotkowi papier, momentalnie przeczytał go, wyciągnął z kieszeni spodni obgryziony ołówek chemiczny, przyłożył papier do ściany i ukosem napisał kilka słów.

— Idźcie! — warknął i wetknął papier Korotkowowi tak, że omal nie wykłuł mu i ostatniego oka. Drzwi do gabinetu zapisały i pochłonęły nieznanego, a Korotkow pozostał w odrętwieniu — w gabinecie nie było Czekuszyna.

Przyszedł do siebie skonfundowany Korotkow dopiero po pół minucie, kiedy wprost wpadł na Lidoczkę de Runi, osobistą sekretarkę tow. Czekuszyna.

— A-ach! — jęknął tow. Korotkow. Oko Lidoczki również było otulone takim samym indywidualnym materiałem z tą różnicą, że końce bandaża zawiązane były na kieteryjną kokardkę.

— Co to wy macie?

— Zapalki! — w rozdrażnieniu odpowiedziała Lidoczka — przekłete.

— Kto tam jest taki? — spytał szeptem przygnębiony Korotkow.

— Czyż wy nie wiecie? — zapytała Lidoczka — nowy.

— Jak to? — pisnął Korotkow — a Czekuszyn?

— Wypędzili wczoraj — z nienawiścią rzekła Lidoczka i dodała, wskazując palcem w kierunku gabinetu — No i gę-ęś. Oto ci sztuczka. Takiego wstrętnego w życiu swym nie widziałam. Wrzeszczy. Wypędzić!... Kalesony lyse! — dodała tak niespodziewanie, że Korotkow wytrzeszczył na nią oko.

— Jak naz...

Nie zdążył Korotkow spytać. Za drzwiami gabinetu wrzasnął straszny głos: „Woźny!”. Referent i sekretarka momentalnie rozbiegli się w różne strony. Przybiegłszy do swego pokoju, Korotkow usiadł przy stole i wygłosił sam do siebie taką mowę:

— Aj, jaj, jaj... No, Korotkow, tyś wpadł. Trzeba tę sprawę naprawić... „Niedorozwinięty”... Hm... Nachał... Dobrze!... Ot ty zobaczysz, jak to Korotkow jest niedorozwinięty.

I jednym okiem referent przeczytał pismo lysego. Na papierze widniały krzywe słowa: „Wszystkim maszynistkom i kobietom w ogóle będą wydane w swoim czasie żołnierskie kalesony”.

— Ot to zdrowo! — z zachwytem zawołał Korotkow i drgnął lubieżnie, wyobraziwszy sobie Lidoczkę w kalesonach żołnierskich. Bez zwłoki wyjął czysty arkusz papieru i w trzy minuty napisał.

„Telefonogram.

Do zarządzającego pododdziałem kompletowania punkt. W odpowiedzi na pismo wasze za Nr 0,15015 (6) z dn. 19 przecinek, Głównym zawiadamia przecinek, że wszystkim maszynistkom i w ogóle kobietom w swoim czasie będą wydane żołnierskie kalesony punkt. Zarządzający pauza podpis Referent pauza Warfołomiej Korotkow punkt”.

Zadzwoił i do wchodzącego woźnego Pantelejmona rzekł:

— Do zarządzającego do podpisu.

Pantelejmon pozuł ustami, wziął papier i wyszedł.

Przez cztery godziny po tym wszystkim Korotkow nasłuchiwał, nie wychodząc ze swego pokoju, z tym wyrachowaniem, ażeby nowy zarządzający, jeżeli zechce obchodzić biuro, bezwarunkowo zastał go pogrążonego w pracy. Lecz żadne dźwięki ze straszego gabinetu nie dobiegały. Raz tylko dobiegł do niego nieprzyjemny żelazny głos, jakby grożący komuś zwolnieniem, lecz komu właściwie, tego Korotkow nie dosłyszał, chociaż przykładł ucho do dziurki od klucza. O godz. 3 i ½ po południu za ścianą kancelarii rozległ się głos Pantelejmona:

— Odjechali na maszynie¹.

Kancelaria natychmiast zaszumiała i rozbiegła się. Później od wszystkich, samotnie udał się do domu tow. Korotkow.

IV. PARAGRAF PIERWSZY — KOROTKOW WYLECIAŁ

Następnego rana Korotkow z radością przekonał się, że oko jego więcej już nie potrzebuje leczenia przewiązką, toteż z ulgą zrzucił bandaż i od razu wypiękniał i zmienił się. Po wypiciu naprędcy herbaty, Korotkow, zgasił primus i pobiegł do biura, starając się nie

¹na maszynie (rusycyzm) — samochodem. [przypis edytorski]

spóźnić, i spóźnił się o 50 minut z powodu tego, że tramwaj zamiast szóstą linią poszedł drogą okólną po siódmej, zajeżdżał na odległe ulice z malutkimi domkami i tam rozbił się. Korotkow piechotą pokonał trzy wiorsty i zadyszany wbiegł do kancelarii, akurat kiedy zegar kuchenny Róży Alpejskiej wybił jedenaście razy. W kancelarii oczekiwało go widowisko zupełnie niezwykle dla godziny jedenastej rano. Lidoczka de Runi, Miłoczka Litowcewa, Anna Jewgrafowna, starszy buchalter Drozd, instruktor Gitis, Nomerackij, Iwanow, Muszka, dziennikarka, kasjer — słowem cała kancelaria nie siedziała na swoich miejscach przy stołach kuchennych byłej restauracji Róża Alpejska, a stali stłoczeni ciasną gromadką przy ścianie, na której gwoździami przybita była ćwiartka papieru. Przy wejściu Korotkowa nastąpiło nagle milczenie i wszyscy spuścili oczy.

— Witajcie, panowie, cóż tam takiego? — spytał zdumiony Korotkow.

Tłum w milczeniu rozstąpił się i Korotkow podszedł do ćwiartki. Pierwsze wiersze spojrzały na niego pewnie i wyraźnie, ostatnie przez łzawą, oszalamiającą mgłę.

„Rozkaz Nr 1.

§ 1. Za niedopuszczalne niedbałe traktowanie swoich obowiązków, wywołujące oburzającą płataninę w ważnych papierach służbowych, a również za przybycie do biura w postaci nieprzyzwoitej, rozbitej widocznie podczas bójki twarzy, tow. Korotkow zwalnia się od tego 26 dnia, z wypłaceniem mu pieniędzy na tramwaj do dn. 25 włącznie”.

Paragraf pierwszy był jednocześnie i ostatnim, a pod paragrafem widniał wielkimi literami podpis:

„Zarządzający Kalso-ner”.

Przez dwadzieścia sekund w zakurzonej kryształowej sali Róży Alpejskiej panowało idealne milczenie. Przy tym najlepiej ze wszystkich, najgłębiej i najbardziej martwo milczał zielonkawy Korotkow. W dwudziestej pierwszej sekundzie milczenie pękło.

— Jak to? Jak to? — zabrzączał dwukrotnie Korotkow, zupełnie jak rozbity o obcas puchar alpejski — jego nazwisko Kalso-ner?...

Przy strasznym tym słowie kanceliści rozproszyli się w różne strony i momentalnie rozsiedli się przy biurkach, jak wrony na drutach telegraficznych. Twarz Korotkowa zmieniła barwę zgnilej, zielonej pleśni na plamistą purpurę.

— Aj, jaj, jaj — zahuczał z oddali, wyglądając spoza książki głównej, Skworec — jakżeż to wy, ojczulki, omyliliście się? Co?

— Ja my-myślałem, myślałem... — wyszeptał resztką głosu Korotkow — przeczytałem zamiast „Kalso-ner” „kalesony”. On z małej litery pisze nazwisko!

— Kalso-nerów nie włożę, niech on się uspokoi! — kryształowo brzęknęła Lidoczka.

— Tss! — jak żmija zasyczał Skworec — co wy? — Dał nurka, ukrył się za księgą główną i zakrył stronicą.

— A co do twarzy to on nie ma prawa! — niegłośnie wykrzyknął Korotkow, stając się z purpurowego białym jak gronostaj — ja naszymi świńskimi zapalkami wypaliłem sobie oczy, jak i towarzyszu de Runi!

— Ciszej! — pisnął pobladły Gitis — co wy? On wczoraj próbował je i znalazł, że są znakomite.

Dr-r-r-r-rrrrr, niespodzianie zadzwonił dzwonek elektryczny nad drzwiami... i natychmiast ciężkie ciało Pantelejmona spadło z taboretu i potoczyło się korytarzem.

— Nie! Ja wyjaśnię. Ja wyjaśnię! — wysoko i cienko zapiał Korotkow, potem rzucił się na lewo, rzucił się na prawo, przebiegł dziesięć kroków na miejscu, odbijając wykrzywioną twarz w zwierciadłach alpejskich, wypłynął na korytarzu i pobiegł do światła bladej lampeczki wiszącej nad napisem „Oddzielne gabinety”. Zadyszany stanął przed strasznymi drzwiami i ocknął się w objęciach Pantelejmona.

— Towarzyszu Pantelejmonie — przemówił niespokojnie Korotkow — Ty mnie, proszę cię bardzo, wpuść. Muszę do zarządzającego w tej chwili...

— Nie wolno, nie wolno, nikogo nie kazano wpuszczać — zachrypiął Pantelejmon i straszliwym zapachem cebuli zdławił zdecydowanie Korotkowa — nie wolno. Idźcie, idźcie, panie Korotkow, a to ja przez pana biedę mieć będę...

— Pantelejmon, przecież mi potrzeba — gasnąc poprosił Korotkow — tu, widzisz, drogi Pantelejmonie, wyszedł rozkaz... Puść mnie, drogi Pantelejmonie.

— Ach ty Boże.... — w przerażeniu odwróciwszy się od drzwi, zamruczał Pantelejmon — mówię panu, nie wolno. Nie wolno, towarzyszu!

W gabinecie za drzwiami brzęknął dzwonek telefoniczny i uderzył miedzią ciężki głos:

— Jadę! Natychmiast!

Pantelejmon i Korotkow rozstąpili się; drzwi otworzyły się i przez korytarz przebiegł Kalsoner w czapce i z teczką pod pachą. Pantelejmon podskakując pobiegł za nim, a za Pantelejmonem, po chwilowym wahaniu, pobiegł Korotkow. Na zakręcie korytarza Korotkow, blady i wzburzony, przeskoczył pod rękami Pantelejmona, prześcignął Kalsonera i pobiegł przed nim tyłem.

— Towarzyszu Kalsoner — zamruczał przerywanym głosem — pozwólcie jedną minutkę powiedzieć... Tu ja z powodu rozkazu...

— Towarzyszu! — brzęknął wściekle śpieszący się i zatroskany Kalsoner, odtrącając Korotkova w biegu — widzicie przecież, że jestem zajęty? Jadę! Jadę!...

— Przecież ja co do rozka...

— Czyż wy nie widzicie, że jestem zajęty? Towarzyszu! Zwróćcie się do referenta.

Kalsoner wybiegł do westybulu, gdzie mieściły się na platformie olbrzymie porzucone organy Róży Alpejskiej.

— Ja przecież jestem referentem! — w przerażeniu, oblewając się potem, pisnął Korotkow — wysłuchajcie mnie, towarzyszu Kalsoner!

— Towarzyszu! — zaryczał jak syrena, niczego nie słuchając, Kalsoner i w biegu, odwróciwszy się do Pantelejmona, krzyknął — przedsięwzięcie kroki, ażeby mnie nie zatrzymywali!

— Towarzyszu! — zaskrzypiał przerażony Pantelejmon — czegoż wy zatrzymujecie?

I nie wiedząc, jakie środki należy przedsięwziąć, przedsięwziął następujący — schwytał Korotkova w środku tułowia i leciutko przytulił do siebie, jak ukochaną kobietę. Środek okazał się rzeczywiście pomocnym — Kalsoner wyslizgnął się, zupełnie jak na wrotkach stoczył się ze schodów i wyskoczył przez drzwi frontowe.

— Pit! Pitt! — zakrzyczał za szybami motocykl, wystrzelił z pięć razy i otuliwszy dymem okna, znikł. Dopiero wtedy Pantelejmon wypuścił Korotkova, wytarł pot z twarzy i zaryczał:

— Bie-da!

— Pantelejmon... — spytał trzęsącym się głosem Korotkow — gdzie on pojechał? Powiedz prędzej, on innego, czy rozumiesz...

— Zdaje się, do Centrosnabu...

Korotkow jak wicher zbiegł ze schodów, wpadł do szatni, porwał palto i czapkę i wybiegł na ulicę.

V. DIABELSKA SZTUCZKA

Korotkowowi udało się. Tramwaj w tejsze chwili zrównał się z Różą Alpejską. Zręcznie wskoczywszy, Korotkow pomknął naprzód, uderzając to o koło hamulcowe, to o worki na plecach. Nadzieja paliła jego serce. Motocykl dla czegoś zatrzymał się i teraz warczał przed tramwajem, i Korotkow to tracił go z oczu, to znów odnajdywał kwadratowe plecy w obłoku sinego dymu. Przez pięć minut Korotkova młóciło i mięło na platformie, w końcu przed szarym gmachem Centrosnaba motocykl zatrzymał się. Kwadratowe ciało zatrzymane zostało przez przechodniów i znikło. Korotkow w biegu wyskoczył z tramwaju, przekręcił się wokół, upadł, rozbił kolano, podniósł czapkę i przed samym samochodem podążył do westybulu.

Okrywając podłogi mokrymi plamami, dziesiątki ludzi szły na spotkanie Korotkova lub wymijały go. Kwadratowe plecy mignęły na drugiej części schodów i, ciężko dysząc, pośpieszył za nimi. Kalsoner wchodził z dziwną, nienaturalną szybkością i Korotkowowi ścisnęło się serce na myśl, że straci go z oczu. Tak się i stało. Na 5 podeście, kiedy referent zupełnie opadł z sił, plecy roztopiły się w gąszczu fizjognomii, czapek i teczek. Jak błyskawica Korotkow wleciał na podest i przez sekundę wahał się przed drzwiami, na których były dwa napisy. Jeden złoty na zielonym tle z twardym znakiem: „Dortolr pepinierek”,

drugi czarny na białym bez twardego znaku „Naczkancuprawdielsnab”. Na chybił trafił Korotkow podążył do tych drzwi i zobaczył olbrzymie szklane klatki i wiele jasnowłosych kobiet biegających między nimi. Korotkow otworzył pierwszą szklaną przegrodę i zobaczył za nią jakiegoś człowieka w granatowym kostiumie. Leżał on na stole i śmiał się wesoło do telefonu. W drugim oddziale na stole był pełny zbiór utworów Szellera-Michajłowa², a obok zbioru nieznaną starszą kobietą w chustce ważyła na wagach suszoną i źle pachnącą rybę. W trzecim panował drobny nieustanny stuk i dzwonki — tam przy sześciu maszynach pisało i śmiało się sześć jasnych, drobnozębnych kobiet. Za ostatnią przegrodą otwierała się wielka przestrzeń z grubymi kolumnami. Trudny do zniesienia trzask maszyn panował w powietrzu i widniała masa głów — kobiecych i męskich, lecz Kalsonera wśród nich nie było. Zaplątawszy się w tym tłumie i zakręciwszy, Korotkow zatrzymał pierwszą napotkaną kobietę, przebiegającą z lusterkiem w ręku.

— Czy nie widziała pani Kalsonera?

Ciężar spadł z serca Korotkowowi z radości, kiedy kobieta odpowiedziała, robiąc olbrzymie oczy:

— Tak, lecz on zaraz wyjeżdża. Niech go pan goni.

Korotkow pobiegł przez salę kolumnową tam, gdzie mu pokazywała malutka biała rączka z błyszczącymi czerwonymi paznokietkami. Przeskoczywszy przez salę, znalazł się na wąskiej i ciemnej platformie i zobaczył otwartą paszczę oświetlonej windy. Serce uciekło w nogi Korotkowowi — dopędził... paszcza przyjmowała kwadratowe koldrowe plecy i czarną błyszczącą teczkę.

— Towarzyszu Kalsoner — zakrzyczał Korotkow i zdrętwiał. Zielone kręgi w olbrzymiej ilości zaskakały po platformie. Siatka zakryła szklane drzwi, winda ruszyła i kwadratowe plecy, odwróciwszy się, zamieniły się na pierś bohaterską. Wszystko, wszystko poznał Korotkow: i szary french, i czapkę, i tekę, i rodzynki oczów. Był to Kalsoner, lecz Kalsoner z długą, asyryjsko fryzowaną brodą spadającą na pierś. W mózgu Korotkowa natychmiast zrodziła się myśl: „Broda wyrosła, kiedy jechał motocyklem i wchodził po schodach — cóż to takiego?”. I potem druga: „broda fałszywa — cóż to takiego?”.

A Kalsoner tymczasem zaczął pogrążyć się w świetlaną głębię. Najpierw skryły się nogi, potem brzuch, broda, ostatnimi oczki i usta, które wykrzyknęły czule tenorowe słowa:

— Późno, towarzyszu, w piątek.

„Głos również przywiązany” — stuknęło w czaszce Korotkowa. Przez trzy sekundy dręcząco płonęła głowa, lecz potem, przypomniawszy sobie, że żadne czary nie powinny powstrzymać go, że wstrzymanie — to zguba, Korotkow posunął się ku windzie. W siatce ukazał się podnoszący się na linie dach. Modna piękność z błyszczącymi kamieniami we włosach wyszła spoza kolumny i, delikatnie dotknąwszy się ręki Korotkowa, spytała go:

— Czy wy, towarzyszu, macie wadę serca?

— Nie, och nie, towarzyszu — wyrzekł oszołomiony Korotkow i podążył ku siatce — nie zatrzymujcie mnie.

— Wtedy³, towarzyszu, idźcie do Iwana Fimogenowicza — rzekła smutnie piękność, zagradzając Korotkowowi drogę do windy.

— Ja nie chcę! — płaczliwie zawołał Korotkow — towarzyszu! Ja się spieszę! Co wy?

Lecz kobieta pozostała nieugięta i smutna.

— Nic nie mogę poradzić, wy sami wiecie — rzekła i przytrzymała za rękę Korotkowa. Winda zatrzymała się, wypluła człowieka z teczką, zakryła się siatką i znów uciekła w dół.

— Puśćcie mnie! — pisał Korotkow i, wyrwawszy rękę, z przekleństwem pobiegł w dół schodami. Przebiegłszy sześć marmurowych półpięter i omal nie zabiwszy wysokiej staruszki w czepku, która się przeżegnała, znalazł się na dole obok olbrzymiej, nowej szklanej ściany pod napisem w górze srebrem na tle niebieskim: „Dyżurne damy klasowe” i na dole piórem na papierze: „Informacja”. Ciemne przerażenie ogarnęło Korotkowa. Za ścianą wyraźnie mignął Kalsoner. Kalsoner wygolony gładko, dawny i straszny. Przeszedł zupełnie blisko Korotkowa, oddzielony od niego tylko cieniutką warstwą szkła. Starając

²Szeller-Michajłow — autor wydanego w 1906 roku siedmiotomowego dzieła *Antyki i Sztuka*. [przypis edytorski]

³wtedy (ruszczyzm) — dosł. tłum. ros. *możda*; tu: zatem, w takim razie. [przypis edytorski]

się o niczym nie myśleć, Korotkow podbiegł do błyszczącej mosiężnej klamki i potrząsnął nią, lecz ta nie poddała się.

Zgrzytnąwszy zębami, jeszcze raz szarpnął świecący mosiądz i tu dopiero z rozpaczą dojrzał miniaturowy napis: „Wokoło przez 6 wejście”.

Kalsoner mignął i zniknął w czarnej niszy za szkłem.

— Gdzie jest szóste? Gdzie jest szóste — słabo krzyknął do kogoś. Przechodnie cofnęły się. Małeńkie boczne drzwi otworzyły się i wyszedł z nich alpagowy staruszek w niebieskich okularach z olbrzymim spisem w ręku. Spojrzawszy na Korotkova sponad okularów, uśmiechnął się, pożał ustami.

— Co? Wciąż chodzicie? — wyseplenił — jak Boga kocham na próżno. Wy już posłuchajcie mnie, staruszka, porzućcie to. Wszystko jedno⁴, wykreśliłem już was. Hi-hi.

— Skąd wykreśliście? — osłupiał Korotkow.

— Hi. Wiadomo skąd, z list. Ołówcekiem: czyrk, i gotowe, hi-hi — staruszek lubieżnie roześmiał się.

— Poz... wólcie... Skądżeż wy mnie znacie?

— Hi. Żartowniś z was, Wasilij Pawłowicz.

— Jam⁵ Warfołomiej — rzekł Korotkow i dotknął ręką swe zimne i śliskie czoło — Piotrowicz.

Uśmiech na chwilę opuścił twarz strasznego staruszka.

Utkwił wzrok w arkuszu i suchym paluszkiem z długim paznokciem przeprowadził po wierszach.

— Cóż wy mi płązecie? Oto on: Kołobkow, W. P.

— Jam Korotkow — niecierpliwie krzyknął Korotkow.

— Ja i mówię: Kołobkow — obraził się staruszek — A oto i Kalsoner. Obydwaj razem przeniesieni, a na miejsce Kalsonera Czekuszyn.

— Co? — tracąc zmysły z radości, krzyknął Korotkow — Kalsonera wyrzucili?

— Tak jest. Wszystkiego jeden dzień zdążył porządzić i wyrzucili.

— Boże! — radując się wykrzyknął Korotkow — jestem ocalony! Jestem ocalony! — i nie wiedząc, co czyni, uściśnął kościstą rękę staruszka. Ten uśmiechnął się. Na chwilę radość Korotkova omroczyła się. Coś dziwnie złowieszczo błysnęło w niebieskich otworach ocznych staruszka. Dziwnym wydał się i uśmiech, obnażający sine dziąsła. Lecz natychmiast Korotkow odpędził od siebie nieprzyjemne uczucia i zakrzętnął się.

— Znaczą się natychmiast do Spimatu powinien biec?

— Obowiązkowo — potwierdził staruszek — tu i powiedziane: do Spimatu. Tylko pozwólcie waszą książeczkę, ja notatkę w niej zrobię ołówkiem.

Korotkow zaraz polazł⁶ do kieszeni, zbladł, polazł do drugiej, jeszcze bardziej zbladł, klapnął się po kieszeniach spodni i ze zdławionym krzykiem rzucił się z powrotem przez schody, patrząc sobie pod nogi. Spotykając się z ludźmi, zrozpaczony Korotkow doleciał do samej góry, chciał zobaczyć piękność z kamieniami, spytać się jej⁷ o coś i zobaczył, że piękność zmieniła się w potwornego, sapiącego chłopaka.

— Gołąbku! — podbiegł do niego Korotkow — mój złoty portfel...

— To nieprawda — nienawistnie odpowiedział chłopiec — ja nie brałem, oni kłamią...

— Lecz nie, drogi, ja nie to... nie ty... dokumenty.

Chłopiec popatrzał spode łba i naraz zarzycał basem.

— Ach, mój Boże! — pomknął w dół do staruszka.

Lecz kiedy przybiegł, staruszka już nie było. Zniknął. Korotkow podbiegł do ma-lutkich drzwi, szarpnął za klamkę. Okazały się zamknięte. W półmroku ledwie-ledwie pachniało siarką.

Zawirowały myśli w głowie Korotkova jak zawierucha i wyskoczyła jedna nowa: „tramwaj!”. Wyrażnie naraz przypomniał sobie, jak ściskali go na platformie dwaj młodzi ludzie, z których jeden chudziutki z czarnymi, zupełnie jakby przyklejonymi wąsikami.

⁴*wszystko jedno* (rusycyzm) — dosł. tłum. ros. *всё равно*; tu: i tak. [przypis edytorski]

⁵*jam* (daw.) — skrócone: ja jestem. [przypis edytorski]

⁶*polazł* (ros. *дошел*) — tu: sięgnął. [przypis edytorski]

⁷*spytać się jej* (rusycyzm) — popr. z B.: spytać się ją. [przypis edytorski]

— Ach, nieszczęście to, oto już nieszczęście — mruzczał Korotkow — to już nieszczęście nad wszystkimi nieszczęściami.

Wybiegł na ulicę, przebiegł ją do końca, skręcił w zaułek i znalazł się przed bramą niewielkiego budynku nieprzyjemnej architektury. Szary człowiek, zezowaty i ponury, patrząc nie na Korotkowa, a gdzieś w bok, spytał:

— Gdzie ty leżysz?...

— Jam, towarzyszu, Korotkow, wu pe, któremu dopiero co ukradli dokumenty... Wszystkie co do jednego... Mnie zabrać mogą...

— I bardzo prosto — potwierdził człowiek na ganku.

— Więc zatem pozwólcie...

— Niechaj Korotkow osobiście przyjdzie.

— Toż przecież ja, towarzyszu, jestem Korotkow.

— Daj zaświadczenie.

— Ukradli mi je dopiero co — zajęczał Korotkow — ukradli, towarzyszu, młody człowiek z wąsikami.

— Z wąsikami? To na pewno Kołobkow. Bezwarunkowo on. On w naszym okręgu specjalnie⁸ pracuje. Ty go teraz w herbaciarniach szukaj.

— Towarzyszu, ja nie mogę — zapłakał Korotkow — ja do Spimatu muszę, do Kalsonera. Puśćcie mnie.

— Zaświadczenie daj, że ukradli.

— Od kogo?

— Od domowego.

Korotkow opuścił ganek i pobiegł ulicą.

„Do Spimatu czy do domowego? — pomyślał — domowy przyjmuje od rana; do Spimatu, znaczy się”.

W tej chwili zegar daleko uderzył czterokrotnie na ryżej wieży i natychmiast ze wszystkich drzwi wybiegli ludzie z teczkami. Zapadł zmierzch i rzadki mokry śnieg począł padać z nieba.

„Późno — pomyślał Korotkow — do domu”.

VI. PIERWSZA NOC

W dziurce od klucza sterczała biała notatka. Przy zmierzchu Korotkow przeczytał ją.

„Drogi sąsiedzie.

Wyjeżdżam do mamy do Zwienigrodu. Pozostawiam wam w darze wino.

Pijcie na zdrowie — nikt go nie chce kupować. Stoi w kącie.

Wasza A. Pajkowa”.

Z krzywym uśmiechem Korotkow zagrzmiał zamkiem, w dwadzieścia kursów przeniósł do siebie do pokoju wszystkie butelki stojące w kącie korytarza, zapalił lampę i, jak był, w czapce i palcie, runął na łóżko. Jak oczarowany prawie że pół godziny patrzył na portret Cromwella, roztapiający się w gęstym mroku, potem zerwał się i nagle dostał jakiegoś ataku o charakterze furii. Zerwawszy czapkę, rzucił ją w kąt, jednym machnięciem zrzucił na podłogę paczki z zapalkami i począł deptać je nogami.

— Ot! ot! ot! — zawył Korotkow i z chrzęstem deptał diabelskie pudełka, w mętym marzeniu, że dławi głowę Kalsonera.

Przy wspomnieniu jajkoksztaltnej głowy zjawiała się naraz myśl o twarzy golonej i brodatej i tu Korotkow zatrzymał się.

— Pozwólcie... jakżeż to tak? — szepnął i przeciągnął rękę po oczach — to cóż to? Czegóż to ja stoję i zajmuję się głupstwami, kiedy wszystko to takie straszne. Wszak nie jest on podwójny, w samej rzeczy?

Strach począł pełznąć przez czarne okna do pokoju i Korotkow, starając się nie patrzeć przez nie, zakrył je czarnymi storami. Lecz od tego nie ulżyło mu. Podwójna twarz,

⁸specjalnie — tu: szczególnie, głównie, najczęściej. [przypis edytorski]

to zarastając brodą, to nagle zrywając ją, wypływała czasami z kątów, błyszcząc zielonkawymi oczyma. W końcu Korotkow nie wytrzymał i czując, że mózg jego chce pęknąć z naprężenia, cichutko zapłakał.

Wypłakawszy się i doznawszy ulgi, zjadł wczorajsze obslizzłe kartofle, potem znów cichutko popłakał.

— Pozwólcie... — naraz zamruczał — czegoż to ja płaczę, kiedy mam wino?

Duszkciem wypił pół szklanki od herbaty. Słodka ciecz poczęła działać po pięciu minutach — dręcząco zabolala lewa skroń i paląco i mgłąco zapragnął pić. Po wypiciu trzech szklanek wody, Korotkow z bólu w skroniach zapomniał zupełnie o Kalsonerze, z jękiem zerwał z siebie zwierzchnią odzież i zwałtały, zataczając oczyma, runął na łóżko. „Piramidonu by...” szeptał długo, dopóki mętny sen nie ulitował się nad nim.

VII. ORGANY I KOT

O godz. 10 rano dnia następnego Korotkow, zagotowawszy naprędce herbaty, wypił bez apetytu ćwierć szklanki i czując, że czeka go trudny, pełen kłopotów dzień, opuścił swój pokój i przebiegł we mgle przez mokre asfaltowe podwórze. Na drzwiach oficyny było napisane: „Domowy”. Ręka Korotkowa już wyciągnęła się ku guzikowi, gdy oczy jego przeczytały: „Z powodu śmierci świadectw nie wydaje się”.

— Ach ty, Boże — z przykrością wykrzyknął Korotkow — cóż to za niepowodzenie na każdym kroku. — I dodał — No, zatem z dokumentami potem, a teraz do Spimatu. Trzeba dowiedzieć się, jak i co. Być może, Czekuszyn już wrócił.

Pieszko, gdyż pieniądze wszystkie były ukradzione, Korotkow dotarł do Spimatu i, przeszedłszy westybul, skierował swe kroki prosto do kancelarii. Na progu kancelarii zatrzymał się i otworzył usta. Ani jednej znajomej twarzy w sali kryształowej nie było. Ani Drozda, ani Anny Jewgrafowny, słowem — nikogo. Przy biurkach, przypominając już nie wrony na drucie, a trzech sokołów Aleksego Michajłowicza, siedziało trzech zupełnie jednakowo wygolonych blondynów w jasnoszarych kraciastych garniturach i jedna młoda kobieta z marzącymi oczyma i brylantowymi kolczykami w uszach. Młodzi ludzie nie zwrócili na Korotkowa żadnej uwagi, i w dalszym ciągu skrzypieli w księgach głównych, a kobieta zrobiła do Korotkowa oczko. Kiedy zaś w odpowiedzi na to uśmiechnął się w roztargnieniu, ta pogardliwie uśmiechnęła się i odwróciła. „Dziwne”, pomyślał Korotkow i, zaczepiwszy się o próg, wyszedł z kancelarii. Przy drzwiach swego pokoju zawahał się, westchnął, patrząc na stary drogi napis: „Referent”, otworzył drzwi i wszedł. Światło natychmiast zbladło w oczach korotkowskich i podłoga leciutko zakołysała się pod nogami. Przy biurku korotkowskim, rozpostarłszy łokcie i wściekle smarując piórem, siedział w swojej własnej osobie Kalsoner. Fryzowane błyszczące włosy okrywały pierś jego. Zbrakło tchu Korotkowi, podczas gdy patrzył na lakierowaną łysinę nad zielonym sukniem. Kalsoner pierwszy przerwał milczenie.

— Co sobie życzycie, towarzyszu? — uprzejmie zagruchał falsetem.

Korotkow kurczowo obliznął usta, zaczerpnął w wąskie piersi moc powietrza i rzekł ledwie dosłyszalnie:

— Khm... jam, towarzyszu, tutejszy referent... To jest... no tak, jeżeli pamiętacie rozkaz.

Zdumienie zmieniło ostro górną część twarzy Kalsonera. Jasne brwi jego podniosły się i czoło zamieniło się na harmonijkę.

— Przepraszam — odpowiedział grzecznie — tutejszy referent to ja.

Czasowe oniemienie ogarnęło Korotkowa. Kiedy minęło, wyrzekł takie słowa:

— A jakżeż? Wczoraj, to jest. Ach, no tak. Darujcie, proszę bardzo. Zresztą popłatałem. Proszę bardzo.

Wyszedł tyłem z pokoju i na korytarzu rzekł do siebie ochryple:

— Korotkow, przypomnij sobie, jaka to dziś data?

I sam sobie odpowiedział:

— Wtorek, tj. piątek. Tysiąc dziewięćset.

Odwrócił się i natychmiast przed nim wybuchły na ludzkiej kuli ze słoniowej kości dwie lampki korytarzowe i wygolona twarz Kalsonera zasłoniła cały świat.

— Dobrze! — zagrzmiała miednica i kurcz skręcił Korotkowa — czekam na was. Znakomicie. Rad jestem poznać się.

Z tymi słowy podsunął się do Korotkowa i tak uściśnął mu rękę, że ten stanął na jednej nodze, zupełnie jak bocian na dachu.

— Personel rozpedziłem — szybko, oderwanie i z powagą mówił Kalsoner — Dwoje tam — wskazał na drzwi do kancelarii — i, ma się rozumieć, Manieczka. Wy: mój pomocnik. Kalsoner, referent. Dawnych wszystkich po szyi. I idiota Pantelejmon także. Mam informacje, że był lokajem w Róży Alpejskiej. Natychmiast pobiegę do oddziału, a wy tymczasem napiszcie z Kalsonerem wnioski co do wszystkich i w szczególności co do tego, jak go... Korotkowa. A propos: wy jesteście trochę podobni do tego szubrawca. Tylko u tego oko podbite.

— Ja? Nie — rzekł Korotkow, chwając się i z obwisłą szczęką — jam nie szubrawiec. Ukradziono mi wszystkie dokumenty. Co do jednego.

— Wszystkie? — wykrzyknął Kalsoner — głupstwo. Tym lepiej.

Wpił się w rękę ciężko dyszącego Korotkowa i przebiegłszy przez korytarz, wciągnął go do tajemniczego gabinetu i rzucił na pulchne krzesło skórzane, a sam usiadł przy biurku. Korotkow, wciąż jeszcze czując dziwne kołysanie się podłogi pod nogami, najeżył się i zamknawszy oczy, zamruczał: „Dwudziestego był poniedziałek, znaczy się wtorek, dwudziesty pierwszy. Nie. Co ja? Dwudziesty pierwszy rok. Wychodzący Nr 0,15, miejsce do podpisu pauza Warfołomiej Korotkow. To znaczy ja. Wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela, poniedziałek. I poniedziałek na pe i piątek na pe, a niedziela... niedzz... na es, jak i środa...”.

Kalsoner z trzaskiem podpisał się na papierze, przywalił na nim pieczęć i wetknął mu. W tej chwili wściekle zadzwonił telefon. Kalsoner porwał za słuchawkę i zawrzęszczał w nią:

— Aha! Tak. Tak. W tej chwili przyjeżdżam.

Podbiegł do wieszaka, zerwał z niego czapkę, przykrył nią łysinę i znikł w drzwiach z pożegnalnymi słowami:

— Czekać na mnie u Kalsonera.

Wszystko stanowczo zakręciło się w oczach Korotkowa, kiedy przeczytał napisane na papierze ze stemplem:

„Okaziciel niniejszego rzeczywiście jest moim pomocnikiem, tow. Wasilij Pawłowicz Kołobkow, co rzeczywiście jest prawdą. Kalsoner”.

— O-o! — jęknął Korotkow, upuszczając na podłogę papier i czapkę — cóż to się takiego wyrabia?

W tejże chwili drzwi zaśpiewały piskliwie i Kalsoner powrócił ze swoją brodą.

— Kalsoner już uciekł? — cienko i łagodnie spytał Korotkowa.

Światło wokoło zagasło.

— A-a-a... — zawył, nie zniósłszy tortury, Korotkow i nie wiedząc, co czyni, poskoczył ku Kalsonerowi, wyszczerzywszy zęby. Przerazenie odbiło się na twarzy Kalsonera do tego stopnia, że od razu zżółkł. Naparłszy tyłem na drzwi, z hałasem otworzył je, przewrócił się w korytarzu, nie powstrzymawszy się, usiadł w kucki, lecz natychmiast wyprostował się i zaczął uciekać z krzykiem:

— Woźny! Woźny! Na pomoc!

— Stójcie. Stójcie. Proszę was, towarzyszu... — oprzytomniawszy zawołał Korotkow i pobiegł w ślad za nim.

Zagrzmiało coś w kancelarii i sokoły zerwali się jak na komendę. Marzycielskie oczy kobiety zabiegały przy maszynie.

— Będą strzelać. Będą strzelać! — rozległ się jej krzyk histeryczny.

Kalsoner pierwszy wypadł do westybulu na platformę z organami, przez sekundę zawahał się, gdzie uciekać, szarpnął się i ostro ściąwszy kąt, znikł za organem. Korotkow pobiegł za nim, pośliznął się i na pewno rozbiłby sobie głowę o poręcz, gdyby nie olbrzymia, krzywa i czarna korba, stercząca z żółtego boku. Schwyłała ona połę pałta Korotkowa, zgniły szewiot z cichym piskiem rozleciał się i Korotkow miękko usiadł na zimnej podłodze. Drzwi bocznego przejścia za organami z trzaskiem zamknęły się za Kalsonerem.

— Boże... — zaczął Korotkow i nie skończył.

W olbrzymiej skrzyni z zakurzonymi miedzianymi trąbami dał się słyszeć dziwny dźwięk, jakby pękła szklanka, potem zakurzone, wewnętrzne mruczenie. Potem dźwięczny akord majorowy, rzeźwiący pełnej krwi strumień, i cała żółta trzypiętrowa skrzynia zagrała, przesypując wewnątrz zaległości zastalego dźwięku:

Huczał, płonął pożar moskiewski...

W czarnym kwadracie drzwi nagle ukazała się blada twarz Pantelejmona. Mgnienie, i w niej zaszła metamorfoza. Oczki jego błysnęły zwycięskim blaskiem, wyprostował się, wstrząsnął prawą ręką przez lewą, jakby przerzucił niewidzialną serwetkę, zerwał się z miejsca i bokiem, ukośnie, jak przyprzężony koń, stoczył się ze schodów, zaokrągliwszy ręce, zupełnie jakby niósł w nich tacę z filiżankami.

Dym rozścielał się po rzece...

— Com ja narobił? — przeraził się Korotkow.

Maszyna, przekręciwszy pierwsze zastale fale, poszła równo, tysiącgłosym lwim rykiem i dzwonem napełniając puste sale Spimatu.

A na murach bram kremlowych...

Przez wycie i grzmot, i dzwony przedarł się sygnał samochodu i natychmiast Kalsoner powrócił przez główne wejście — Kalsoner wygolony, mściwy i groźny. W złowieszczym błękitnym błysku zręcznie zaczął wchodzić po schodach. Włosy poruszyły się na głowie Korotkova i, wykręciwszy się przez boczne drzwi, krzywymi schodami za organami, wybiegł na zasłane gruzem podwórze, a potem na ulicę. Jak w ucieczce, pobiegł ulicą, słuchając, jak w ślad za nim głucho huczał gmach Róży Alpejskiej:

Stał on w szarym surducie...

Na rogu dorożkarz, wymachując batem, wściekle szarpał klacz z miejsca.

— Boże! Boże! — burzliwie załkał Korotkow — znów on! Lecz cóż to jest?

Kalsoner brodaty wyrósł z jezdni przed dorożką, wskoczył do niej i zaczął walić dorożkarza w plecy, powtarzając cieniutkim głosikiem:

— Pędź! Pędź, łajdaku!

Klacz szarpnęła, zaczęła wierzcąc kopytami, potem pod palącymi uderzeniami bata poniosła, napełniając turkotem ekwipażu ulicę. Przez burzliwe łyż Korotkow widział, jak zleciał lakierowany kapeluszyk dorożkarza, a spod niego rozleciały się w różne strony, wirując, banknoty. Chłopcy z gwizdaniem przemknęli za nimi. Dorożkarz, odwróciwszy się, w rozpaczy ściągnął lejce, lecz Kalsoner wściekle zaczął walić go w plecy z wrzaskiem:

— Jedź! Jedź! Ja zapłacę.

Dorożkarz, wykrzyknąwszy rozpaczliwie:

— Eh, wasze zdrowie, ginąć czy co? — puścił klacz galopem i wszystko znikło za rogiem.

Łkając, Korotkow spojrział na szare niebo, szybko mknące nad głową, zachwiał się i zawołał boleściwie:

— Dosyć. Tak nie zostawię tego! Ja go zdemaskuję. — Skoczył, uczepił się pałaka tramwaju. Pałak pochwał nim przez pięć minut i rzucił przy dziewięciopiętrowym zielonym gmachu. Wbiegłszy do westybulu, Korotkow wsunął głowę w czworokątny otwór w drewnianej przegrodzie i spytał olbrzymi niebieski czajnik:

— Gdzie biuro zażaleń, towarzyszu?

— 8 piętro, 9 korytarz, lokal nr 41, pokój 302 — odpowiedział czajnik kobiecym głosem.

— Ósme, dziewiąty, czterdzieści jeden, trzysta... trzysta... ile tam... 302 — mruczał Korotkow, wbiegając po szerokich schodach — ósme, dziewiąty, ósmy... stop, 40... nie, 42... nie, 302 — beczał — ach, Boże, zapomniałem... tak, 40, czterdziesty...

Na ósmym piętrze minął troje drzwi, zobaczył na czwartych czarną cyfrę „40” i wszedł do olbrzymiej, z dwustronnym oświetleniem sali z kolumnami. W kątach jej leżały role papieru i cała podłoga usiana była zapisanymi strzępkami papieru. W oddaleniu majaczył

stolik z maszynką i złocista kobieta, cicho nucąc piosenkę, podparłszy policzek piąstką, siedziała przy nim. Z roztargnieniem obejrzawszy się, Korotkow zobaczył, jak z estrady za kolumnami zeszła, ciężko stąpając, masywna postać mężczyzny w białym kontuszu. Siwe obwisłe wąsy widniały na jego twarzy marmurowej. Mężczyzna, uśmiechając się niezwykle uprzejmym, martwym gipsowym uśmiechem, podszedł do Korotkova, czule uściśnął mu rękę i rzekł, stuknąwszy obcasami:

— Jan Sobieski.

— Nie może być... — odpowiedział zdumiony Korotkow.

— Wyobraźcie sobie, wielu się zdumiewa — przemówił z niewłaściwymi akcentami — lecz wy nie myślcie, że ja mam cośkolwiek wspólnego z tym bandytą. O, nie. Gorzkie skojarzenie, nic więcej. Już podałem prośbę o zatwierdzenie mego nowego nazwiska: Socwoski. To znacznie piękniejsze i nie tak niebezpieczne. Zresztą, jeżeli panu nieprzyjemnie — mężczyzna obraźliwie wykrzywił usta — nie narzucam się. My zawsze znajdziemy ludzi. Nas szukają.

— Zlitujcie się, co wy — boleściwie wykrzyknął Korotkow, czując, że i tu zaczyna się coś dziwnego, jak i wszędzie. Obejrzał się wzrokiem szczonego zwierzęcia, obawiając się, że skądkolwiek wynurzy się ogolona twarz i łysina-skorupa, a potem dodał, jakby sukiennym językiem — bardzo jestem zadowolony, bardzo...

Pstry rumieniec ledwie wystąpił na marmurowym człowieku: delikatnie podnosząc rękę Korotkova, pociągnął go ku stolikowi, przemawiając:

— I jam bardzo zadowolony. Lecz oto bieda, wyobraźcie sobie: nie mam nawet gdzie was posadzić. Trzymają nas w ciasnocie, nie zważając na całe nasze znaczenie — mężczyzna machnął ręką na rolki papieru. — Intrygi... No-o, my rozwinie my się, nie niepokójcie się... Hm... Czymżeż wy uradujecie nas nowym? — łagodnie spytał bladego Korotkova — Ach, tak, przepraszam, przepraszam tysiącrotnie, pozwólcie zaznajomić was — wytwornie machnął ręką w kierunku maszynki: Henrieta Potapowna Piersimfans.

Kobieta natychmiast uściśnęła chłodną ręką Korotkova i popatrzyła na niego mdlejącym wzrokiem.

— I tak — słodko ciągnął gospodarz — czymżeż wy nas uradujecie? Felieton? Szkice? — przewróciwszy białe oczy, przeciągnął — nie możecie sobie wyobrazić, do jakiego stopnia są one nam potrzebne.

„Caryco niebieska... co to takiego?” — jak w mgłę pomyślał Korotkow, potem przemówił, kurczowo chwytając powietrze:

— U mnie... e... zaszło coś strasz-nego. On... Ja nie rozumiem. Nie pomyślcie, na miłość boską, że to halucynacja... Khm... ha... hha... — Korotkow spróbował roześmiać się sztucznie, lecz to mu się nie udało. — On jest żywy. Zapewniam was... lecz ja nic nie rozumiem, to z brodą, a po minucie bez brody. Wprost nie rozumiem... głos zmienia... Oprócz tego ukradli mi dokumenty wszystkie, co do jednego, a domowy, jak na grzech, umarł! Ten Kalsoner...

— Takim ja i wiedział⁹ — zawołał gospodarz — to oni?

— Och, mój Boże, no, rozumie się — odezwała się kobieta — ach, ci straszni Kalsonerzy.

— Wy wiecie — przerwał gospodarz wzburzonym głosem — ja przez niego siedzę na podłodze. Ot, zachwycajcie się. Lecz, co on rozumie w dziennikarstwie?... — gospodarz schwytał Korotkova za guzik — bądźcie tak dobrzy, powiedzcie, co on rozumie? Dwa dni tu przebył i zupełnie mnie zamęczył. Lecz, wyobraźcie sobie, szczęście. Jeździłem do Fiedora Wasiljewicza i ten w końcu zabrał go. Postawiłem kwestię ostro: ja albo on. Przenieśli go do jakiegoś Spimatu, czy diabli go jeszcze wiedzą, gdzie. Niech śmierdzi tam tymi zapalkami. Lecz meble, meble, zdążył przekazać do tego przeklętego biura. Wszystkie. Czy nie spodoba się? Na czym ja, pozwólcie dowiedzieć się, pisać będę? Na czym wy będziecie pisać? Gdyż ja nie wątpię, że wy będziecie nasz, drogi. — gospodarz uściśnął Korotkova. — Prześliczne meble atlasowe Ludwik czternasty ten łobuz nieodpowiedzialnym zarządzeniem zepchnął do tego głupiego biura, które jutro wszystko jedno¹⁰ zamkną, do diablej matki.

⁹takiem (...) wiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: tak wiedziałem. [przypis edytorski]

¹⁰wszystko jedno (rusycyzm) — dosł. tłum. ros. *всё равно*; tu: i tak. [przypis edytorski]

— Jakie biuro? — głucho spytał Korotkow.

— Ach, a to tam zażalenia czy jak je tam — z przykrością rzekł gospodarz.

— Jak to? — krzyknął Korotkow. — Jak to? Gdzie ono?

— Tam — ze zdumieniem odrzekł gospodarz i wskazał ręką na podłogę. Korotkow po raz ostatni obrzucił oszalałymi oczyma biały kontusz i po minucie znalazł się w korytarzu. Po chwilowym namyśle, pobiegł na lewo, szukając schodów na dół. Biegł z pięć minut, podążając wymyślnymi wygięciami korytarza i po pięciu minutach znalazł się w tym samym miejscu, skąd wybiegł. Drzwi nr 40.

— Ach, czort! — jęknął Korotkow, podreptał i pobiegł na prawo, i po 5 minutach znów był w tym samym miejscu. Nr 40. Szarpnąwszy drzwi, Korotkow wbiegł do sali i przekonał się, że ta była pusta. Tylko maszynka uśmiechała się milcząco na stole białymi zębami. Korotkow podbiegł do kolumnady i tam zobaczył gospodarza. Stał ten na piedestale, już bez uśmiechu i z obrażoną twarzą.

— Przepraszam, że się nie pożegnałem... — zaczął Korotkow i umilkł. Gospodarz stał bez ucha i nosa, i lewa ręka jego była odłamana. Cofając się tyłem i drżąc z zimna, Korotkow wybiegł znów na korytarz. Niedostrzegalne ukryte drzwi naprzeciwko naraz otworzyły się i wyszła z nich pomarszczona brązowa baba z pustymi wiadrami na nosidłach.

— Babo! Babo! — niespokojnie zawołał Korotkow — gdzie jest biuro?

— Nie wiem, ojczulku, nie wiem, karmicielu — odpowiedziała baba — lecz ty nie biegaj, kochanku, wszystko jedno¹¹ nie znajdziesz. Czyż możebne: dziesięć piętrów...

— U-u... g-głupia — zacisnąwszy zęby, ryknął Korotkow i pobiegł ku drzwiom. Zatrzasnęły się one za nim i Korotkow znalazł się w małej na wpół ciemnej przestrzeni bez wyjścia. Rzucając się na ściany i drapiąc je, jak zasypany w szachcie¹², w końcu nacisnął na białą plamę i ona wypuściła go na jakieś schody. Drobno stukając, pobiegł na dół. Dały mu się słyszeć kroki na spotkanie z dołu. Przykry niepokój ścisnął serce Korotkowa i zaczął się zatrzymywać. Jeszcze mgnienie i — i pokazała się wspaniała czapka, mignęła szara kołdra i długa broda. Korotkow zachwiał się i uczepił rękoma poręczy. Jednocześnie skrzyżowały się spojrzenia i obydwaj zawyli cienkimi głosami strachu i bólu. Korotkow tyłem począł się cofać w górę, Kalsoner cofnął się w tył, pełen niepojętego przerażenia.

— Poczekajcie — zaskrzyphiał Korotkow — minutkę... wy tylko wyjaśnijcie...

— Ratujcie! — zarzycał Kalsoner, zmieniając cienki głos na pierwotny swój miedziany bas. Potknąwszy się, z hukiem upadł w tył głową: uderzenie nie przeszło mu darmo¹³. Zamieniwszy się w czarnego kota z fosforycznymi oczyma, wyleciał z powrotem, błyskawicznie i aksamitnie przeciął platformę, zwinął się w kłębek i skoczywszy na deskę okienną, znikł w rozbitej szybie i pajęczynie. Biała zasłona na mgnienie zaciągnęła mózg korotkowski, lecz natychmiast opadła i nastąpiło niezwykle przejaśnienie.

— Teraz wszystko rozumiem — szepnął Korotkow i cichutko roześmiał się — aha, zrozumiałem. Ot, co jest. Koty! Wszystko zrozumiałe. Koty!

Zaczął śmiać się coraz głośniej i głośniej, dopóki całe schody nie napełniły się głuchymi grzmotami.

VIII. DRUGA NOC

O zmierzchu towarzysz Korotkow, siedząc na łóżku z bai, wypił trzy butelki wina, ażeby wszystko zapomnieć i uspokoić się. Głowa teraz bolała go cała: prawa i lewa skroń, tył i nawet powieki. Lekkie mdłości podnosiły się z dna żołądka, chodziły wewnątrz falami i dwukrotnie tow. Korotkow wymiotował do miski.

— Ja oto tak zrobię — słabo szeptał Korotkow, zwieszając w dół głowę — jutro postaram się nie spotkać z nim. Że zaś jednak kręcił się on wszędzie, to przeczekam: w zaułku lub w uliczce bez wyjścia. On sobie obok przejdzie. A jeżeli pogoni za mną, ucieknę. On pozostanie. Idźżeż więc swoją drogą. I już nie chcę więcej do Spimatu. Bóg z tobą. Służ sobie i jako zarządzający, i jako referent, i pieniędzy tramwajowych nie chcę. Obejdę się bez nich. Tylko ty już mnie, proszę bardzo, pozostaw w spokoju. Kot tyś czy nie

¹¹ *wszystko jedno* (rusycyzm) — dosł. tłum. ros. *всё равно*; tu: i tak. [przypis edytorski]

¹² *szacht* — szyb. [przypis edytorski]

¹³ *nie przeszło mu darmo* (rusycyzm) — nie pozostało bez skutku. [przypis edytorski]

kot, z brodą czy bez brody, sam idź swoją drogą, a ja swoją. Ja sobie inne miejsce znajdę i będę urzędować cicho i spokojnie. Ani ja nikogo nie ruszam, ani mnie nikt. I skarg żadnych podawać na ciebie nie będę. Jutro tylko wyrobię sobie dokumenty i koniec...

W oddali głucho zaczął bić zegar. Bam... bam... „To u Piestruchinych” — pomyślał Korotkow i zaczął liczyć. Dziewięć... jedenaście... północ, 13, 14, 15... 40...

— Czterdzieści razy wybił zegar — gorzko uśmiechnął się Korotkow, a potem znów zapłakał. Potem go znów kurczowo i ciężko zemdlilo wino cerkiewne.

— Mocne, och, mocne wino — wyrzekł Korotkow i z jękiem runął na poduszkę. Mięły dwie godziny i niezgaszona lampa oświetlała bladą twarz na poduszce i zmierzwiłone włosy.

IX. MASZYNOWY ŁĘK

Dzień jesienny spotkał tow. Korotkova rozlaźle i dziwnie. Bojaźliwie oglądając się na schodach, wdrapał się na 8 piętro, na chybił trafił skręcił na prawo i drgnął radośnie. Narysowana ręka wskazywała mu napis „Pokoje nr 302–349”. Idąc w kierunku palca zbawczej ręki, dotarł do drzwi z napisem „302 — biuro zażaleń”. Ostrożnie zajrzawszy do niego, ażeby nie spotkać się z kim nie potrzeba, Korotkow wszedł i znalazł się przed siedmiu kobietami przy maszynkach. Wahając się cokolwiek, podszedł do siedzącej z brzegu — smagłej i matowej, uklonił się i chciał coś powiedzieć, lecz brunetka naraz przerwała mu. Spojrzenia wszystkich kobiet utkwione były w Korotkowie.

— Wyjdziemy na korytarz — ostro powiedziała matowa i kurczowo poprawiła koafiurę.

„Mój Boże, znów, znów coś...” — smutnie błysnęło w głowie Korotkova. Westchnąwszy ciężko, był posłuszny. Sześć pozostałych z zainteresowaniem zaczęło szeptać w ślad za nimi.

Brunetka wyprowadziła Korotkova i w półmroku ciemnego korytarza rzekła:

— Jest pan straszny... Z powodu pana nie spałam całą noc i zdecydowałam się. Niech będzie według pana. Oddam się panu.

Korotkow popatrzał na smagłą z wielkimi oczami twarz, od której pachniało konwalia, wydał jakiś gardlany dźwięk i nic nie powiedział. Brunetka podniosła głowę, męczeńsko wyszczerzyła zęby, schwytała Korotkova za rękę, przyciągnęła go do siebie i zaczęła szeptać:

— Cóż ty milczysz, uwodzicielu? Tyś zdobył mnie swoją odwagą, smoku mój. Całuj żeż mnie, całuj prędzej, dopóki nie ma nikogo z komisji kontrolującej.

Znów dziwny dźwięk wybiegł z ust Korotkova. Zachwiał się, poczuł na ustach swoich coś słodkiego i miękkiego i olbrzymie źrenice okazały się przy samych oczach Korotkova.

— Oddam ci się... — szepnęła przy samych ustach Korotkova.

— Ja nie potrzebuję — odpowiedział ochryple — ukradziono mi dokumenty.

— Tak-s — rozległo się naraz z tyłu.

Korotkow obejrzał się i zobaczył alpagowego staruszka.

— A-ach! — wykrzyknęła brunetka i, zakrywszy twarz rękoma, uciekła przez drzwi.

— Hi — rzekł staruszek — zdrowo. Gdzie nie przyjdiesz, pan, panie Kołobkow. No, i chwyt z pana. Lecz co tam, całuj, nie całuj, nie wycałujesz delegacji. Mnie, staruszkowi, dali, ja i pojedę. Ot co.

Z tymi słowy pokazał Korotkowowi suchutką, malutką figę.

— A raport ja na was złożę — złośliwie ciągnął dalej alpagowy — tak. Pozbawiliście dziewictwa trzy w głównym oddziale, teraz, znaczy się, do pododdziałów się dobieracie? Że ich aniołeczki teraz płaczą, to wam wszystko jedno? Rozpaczają one teraz, biedne dziewczynki, lecz cóż, za późno już. Nie wrócisz czci dziewiczej. Nie wrócisz.

Staruszek wyciągnął wielką chustkę do nosa z pomarańczowymi bukietami, rozplakał się i wytarł nos.

— Z rąk staruszka podniesione okruszyny pragniecie wydrzeć, panie Kołobkow? Cóż... — staruszek zatrząsł się i rozplakał, upuścił teczkę — bierzcie, zjadajcie. Niechaj bezpartyjny, współczujący starzec z głodu umiera... Niechaj tam. Tam jemu i droga, staremu psu. Lecz tylko pamiętajcie, panie Kołobkow — głos staruszka stał się proroczco

groźnym i zadźwięczał jak dzwony — nie pójdą one wam na korzyść, pieniążki te diabelskie. Kołem w gardle one wam staną — i staruszek rozpląnął się w głośnych łkaniach.

Histeria opanowała Korotkowa; nagle i niespodziewanie dla samego siebie, drobniutko zatupał nogami.

— Do diabłej matki! — cieniutko zakrzyczał i chory głos jego rozległ się pod stropem — nie jestem Kołobkowem. Odczep się ode mnie! Nie Kołobkow. Nie jadę! Nie jadę!

Zaczął szarpać na sobie kołnierzyk.

Staruszek momentalnie wysechł, zadrżał ze strachu.

— Następny! — zakrakały drzwi. Korotkow umilkł i podbiegł do nich, skręcił na lewo, ominąwszy maszynki, i znalazł się przed roslym, wytworknym blondynem w granatowym garniturze. Blondyn skinął Korotkowowi głową i rzekł:

— Krócej, towarzyszu. Od razu. Raz dwa, Połtawa czy Irkuck?

— Dokumenty ukradli... ukradli — dziko oglądając się, odpowiedział znekany Korotkow — i kot się ukazał. Nie ma prawa. Nigdy w życiu nie bilem się, to zapalki. Prześadować nie ma prawa. Nie będę patrzeć, że on Kalsoner. Mnie ukradli do...

— No, to głupstwo — odpowiedział granatowy — umundurowanie damy i koszule, i prześcieradła. Jeżeli do Irkucka, to nawet i półkożuszek używany. Krócej.

Muzykalnie szcęknął kluczem w zamku, wysunął szufladę i, zajrzawszy do niej, uprzejmie wyrzekł:

— Pozwólcie, Siergiej Nikołajewicz.

I natychmiast z jesionowej szuflady wyjrzała przyczesana, jasna jak len głowa i niebieskie, biegające oczy. Za nimi wygięła się jak u żmii szyja, zachrząścił krochmalony kołnierzyk, pokazała się marynarka, ręce, spodnie i po sekundzie wykończony sekretarz, z piskiem „Dzień dobry”, wylazł na czerwone sukno. Wstrząsnął się jak pies po kąpieli, zeskoczył, zasunął głębiej mankiety, wyjął z kieszeni pióro patentowane i w tejże chwili pisać zaczął.

Korotkow cofnął się, wyciągnął rękę i żałośliwie rzekł do granatowego:

— Patrzcie, patrzcie, wylazł ze stołu. Cóż to takiego?...

— Naturalnie, wylazł — odpowiedział granatowy — nie leżeć żeż mu cały dzień. Pora już. Czas. Chronometraż.

— Lecz jak? Jak? — zadzwonił Korotkow.

— Ach ty, Boże — wybuchnął granatowy — nie zatrzymujcie, towarzyszu.

Głowa brunetki wynurzyła się przez drzwi i krzyknęła z podnieceniem i radośnie:

— Już posłałam dokumenty jego do Połtawy. I ja z nim jadę. Mam ciotkę w Połtawie pod 43 stopniem szerokości i 5 długości.

— No i cudownie — odpowiedział blondyn — a to sprykrzyła mi się już ta fujarka.

— Ja nie chcę! — zawołał Korotkow, błędząc wzrokiem — ona będzie mi się oddawać, a ja tego znosić nie mogę. Nie chcę! Zwróćcie dokumenty. Święte nazwisko moje. Przywróćcie!

— Towarzyszu, to w oddziale zawierających związki małżeńskie — zapiszczał sekretarz — my nic nie możemy poradzić.

— O, głuptasek! — zawołała brunetka, znów wyglądając — zgadzaj się; zgadzaj się! — krzyczała suflerskim szepem. Głowa jej to ukrywała się, to ukazywała się.

— Towarzyszu! — załkał Korotkow, rozmazując łzy po twarzy — Towarzyszu! Błagam cię, daj dokumenty. Bądź przyjacielem. Bądź, proszę cię wszystkimi fibrami duszy, i ja wstąpię do klasztoru.

— Towarzyszu! Bez hysterii. Konkretnie i abstrakcyjnie wyłóżcie piśmiennie, terminowo i sekretnie: Połtawa czy Irkuck? Nie zabierajcie czasu człowiekowi zajętemu! Po korytarzach nie chodzić! Nie pluć! Nie palić! Rozmianianiem pieniędzy czasu nie zabierać! — tracąc równowagę zagrział blondyn.

— Podawanie rąk odwołuje się! — zapiał sekretarz.

— Niech żyją uściski! — namiętnie szepnęła brunetka i jak tchnienie przemknęła przez pokój, otulając zapachem konwalii szyję Korotkowa.

— Powiedziano w przykazaniu trzynastym: nie wchodź bez zameldowania do bliźniego twego — wyseplenil alpagowy i przeleciał w powietrzu, wymachując połamami surduta

— ja i nie wchodzę, nie wchodzę, a papierek mimo to podrzucę, ot tak, chłop!... podpiszesz pierwszy lepszy i na ławę oskarżonych. — Wyrzucił z szerokiego czarnego rękawa paczkę białych arkuszy i one rozleciały się, i usiały stoły, jak czajki skały przybrzeżne.

Zamęt zakręcił się po pokoju i okna chwiać się poczęły.

— Towarzyszu blondynie! — płakał wymęczony Korotkow — zostaw ty mnie na miejscu, lecz wyrób mi jaki bądź dokumencik. W rękę cię pocałuję.

W zamęcie blondyn zaczął puchnąć i wyrastać, nie przestając ani na chwilę wściekle podpisywać arkuszy staruszka i rzucać ich sekretarzowi, który chwycił je z radosnym mruzeniem.

— Niech go diabeł porwie! — zagrział blondyn — niech go diabeł porwie. Maszynistki, hej!

Skinął olbrzymią ręką, ściana przed oczami Korotkowa rozpadła się i trzydzieści maszyn na stołach, zatrzeszczawszy dzwoneczkami, zagrało fokstrota. Kołysząc biodrami, lubieżnie poruszając ramionami, wyrzucając kremowymi nogami białą pianę, krokiem tanecznym ruszyło trzydzieści kobiet i poszły wokoło stołów.

Białe wstęgi papieru położyły w paszcze maszyn, zaczęły zwiąć się, przecinać, zszywać. Wylazły białe spodnie z fioletowymi lampasami: „Okaziciel niniejszego jest rzeczywiście okazicielem, a nie jakąś tam szantrapą”.

— Kładź je! — zagrział blondyn we mgle.

— I-i-i-i — cieniutko zaskowyczał Korotkow i zaczął walić głową o róg biurka blondyna. Ulżyło to głowie na chwilkę i czyjaś twarz załzawiona mignęła przed Korotkowem.

— Kropli walerianowych! — zawołał ktoś na suficie.

Surdut, jak czarny ptak, zakrył światło, staruszek zaszepotał niespokojnie:

— Teraz jeden ratunek: do Dyrkina w piątym oddziale. Chodu! chodu!

Zapachniało eterem, potem ręce delikatnie wyniosły Korotkowa na na wpół ciemny korytarz. Surdut objął Korotkowa i pociągnął, szepcąc i chichocząc:

— No, ja już im dogodziłem: takiego nasypałem im na stoły, że każdy z nich dostanie nie mniej pięciu lat z porażką na polu walki. Chodu! chodu!

Surdut frunął w bok, pociągnęło wiatrem wilgocią z siatki zapadającej w przepaść.

X. STRASZNY DYRKIN

Lustrzana kabina poczęła opadać w dół i dwóch Korotkowych opadło w dół. Drugiego Korotkowa pierwszy i główny zapomniał w lustrze kabiny i wyszedł sam do zimnego westybulu. Bardzo tłusty i różowy w cylindrze spotkał Korotkowa słowami:

— I cudownie. Oto ja was aresztuję.

— Mnie nie wolno aresztować — odrzekł Korotkow i roześmiał się szatańskim śmiechem — dlatego, że ja nie wiadomo kto. Bezwarunkowo. Ani aresztować, ani ożenić mnie nie wolno. A do Połtawy ja nie pojedę.

Tłusty człowiek zadrzał w przerażeniu, popatrzał w źrenice Korotkowa i zaczął osiadać w tył.

— Aresztujże — pisnął Korotkow i pokazał grubasowi drżący blady język, pachnący kroplami walerianowymi — jakżeż ty aresztujesz, jeżeli zamiast dokumentów figa? Być może, jam Hohenzollern.

— Panie Jezusie — rzekł grubas, trzęsącą ręką przeżegnał się i przemienił z różowego na żółtego.

— Kalsonera nie spotkałeś? — krótko spytał Korotkow i obejrzał się — odpowiadaj, grubasie.

— W żadnym razie nie — odpowiedział grubas, zmieniając różowe zabarwienie na szare.

— Cóż teraz robić? Co?

— Do Dyrkina, nie inaczej — wyjąkał grubas — do niego najlepiej. Tylko groźny. Uch, groźny! I nie podchodź. Dwóch już od niego z góry wyleciało. Telefon rozbił obecnie.

— Pięknie — odpowiedział Korotkow i junacko splunął — nam teraz wszystko jedno. Podność!

— Nóżki nie rozbijajcie, towarzyszu pełnomocniku — czule rzekł grubas, wsadzając Korotkowa do windy.

Na pierwszej platformie napotkano malutkiego lat szesnastu, który strasznie zakrzy-
czał:

— Gdzie ty? Stój!

— Nie bij, diadieńka¹⁴ — rzekł grubas najeżywszy się i zakrywając głowę rękoma —
do samego Dyrkina.

— Przechodź! — krzyknął malutki.

Grubas zaszeptał:

— Wy już idźcie, wasza światłości, a ja tu na was poczekam. Bardzo strasznie...

Korotkow dostał się do ciemnego przedpokoju, a z niego do pustej sali, w której był
rozpostarty błękitny, wytarty dywan.

Przed drzwiami z napisem „Dyrkin” Korotkow cokolwiek zawahał się, lecz potem
wszedł i znalazł się w przytulnie umeblowanym gabinecie z olbrzymim malinowym biur-
kiem i zegarem na ścianie. Malutki pulchny Dyrkin zerwał się na sprężynie spoza biurka
i, podkreściwszy do góry wąsy, warknął:

— M-milczeć!... — chociaż Korotkow jeszcze zupełnie nic nie powiedział.

W tejże chwili w gabinecie ukazał się błądy młodzieniec z teczką. Twarz Dyrkina
momentalnie okryła się zmarszczkami uśmiechu.

— A-a! — zawołał słodko — Artur Arturycz. Nasze wam¹⁵.

— Słuchaj, Dyrkin — przemówił młodzieniec metalicznym głosem — tyś napisał do
Puryszewa, że jakoby ja utworzyłem w kasie emerytalnej swą dyktaturę osobistą i skra-
dłem emerytalne majowe pieniądze? Ty? Odpowiadaj, parszywa swołocz.

— Ja? — zamruczał Dyrkin, czarodziejsko przemieniając się z groźnego Dyrkina
w Dyrkina dobrego — ja, Arturze Arturowiczu... Ja, rozumie się... Wy to na próżno...

— Ach, ty szubrawcze, szubrawcze — rozdzielając na sylaby rzekł młodzieniec, poki-
wał głową i zamachnąwszy się teczką, trzasnął nią Dyrkina po uchu, zupełnie jakby blin¹⁶
wyłożył na talerz.

Korotkow machinalnie jęknął i zamarł.

— To samo będzie i tobie, i każdemu łotrowi, który pozwoli sobie wsadzać nos w mo-
je sprawy — pouczająco rzekł młodzieniec i pogroziwszy na pożegnanie Korotkowi
czerwoną pięścią, wyszedł.

Przez dwie minuty w gabinecie panowało milczenie i tylko wisiorki na kandelabrach
dzwoniły skutkiem przejeżdżającego gdzieś w pobliżu samochodu ciężarowego.

— Oto, młody człowieku — z gorzkim uśmiechem rzekł dobry i uniżony Dyrkin —
oto i nagroda za gorliwość. Nocy nie dosypiasz, nie dojadasz, nie dopijasz, a rezultat zawsze
jeden: po mordzie. Być może i wyście po to przyszli? Cóż... Bijcie Dyrkina, bijcie. Morda
jego, widocznie, rządowa. Być może, wam ręką boleśnie? Więc wy kandelabr weźcie.

I Dyrkin kusząco wystawił pulchne policzki spoza biurka. Nic nie rozumiejąc, Korot-
kow, krzywo i wstydliwie uśmiechnął się, wziął kandelabr za nóżkę i z chrzęstem uderzył
Dyrkina po głowie świecami. Z nosa tegoż zakapała krew na sukno i krzyknąwszy „na
pomoc”, uciekł przez drzwi wewnętrzne.

— Ku-ku! — radośnie krzyknęła kukułka leśna i wyskoczyła z norymberskiego wy-
malowanego domku na ścianę.

— Ku-klux-klan! — zakrzyczała i zamieniła się w łysą głowę — zapiszemy, jak wy
robotników walicie!

Wściekłość ogarnęła Korotkowa. Zamachnął się kandelabrem i uderzył nim zegar.
Odpowiedział ten grzotem i wytryskami złotych strzałek. Kalsoner wyskoczył z zega-
ra, przemienił się w białego koguta z napisem „wychodzący” i przemknął przez drzwi.
Natychmiast za drzwiami wewnętrznymi rozległ się wrzask Dyrkina: „chwytaj go, roz-
bójnika!” i ciężkie kroki ludzi poleciały ze wszystkich stron. Korotkow zawrócił i począł
uciekać.

¹⁴diadieńka (ros.) — wujaszku. [przypis edytorski]

¹⁵nasze wam — tu w znaczeniu: dla was wszystko; do usług. [przypis edytorski]

¹⁶blin — placek, naleśnik. [przypis edytorski]

XI. KINO PARFORCE'OWE I PRZEPAŚĆ

Z platformy grubas wskoczył do kabiny, zarzucił się siatkami i runął w dół, a po olbrzymich, wygryzionych schodach pobiegli w takim porządku: pierwszy czarny cylinder grubasa, za nim — biały wychodzący kogut, za kogutem — kandelabr, który przeleciał o werszok¹⁷ nad ostrą białą główką, potem Korotkow, szesnastoletni z rewolwerem w rękę i jeszcze jacyś ludzie, tupiący podkutymi butami. Schody zajęczały brązowym dzwonem i niespokojnie zatrząsały drzwi na platformach.

Ktoś zwiesił się z górnego piętra w dół i krzyknął przez tubę:

— Jaka sekcja się przeprowadza? Kasę ogniotrwałą zapomnieli!

Głos kobiety w dole odpowiedział:

— Bandydzi!!

Przez olbrzymie drzwi na ulicę Korotkow, wyprzedziwszy cylinder i kandelabr, wyskoczył pierwszy i, łyknąwszy olbrzymią porcję rozpalonego powietrza, wyleciał na ulicę. Biały kogutek zapadł się pod ziemię, pozostawiając zapach siarki, czarny surdudt wysunął się z powietrza i pomknął obok Korotkowa z krzykiem cienkim i przeciągłym:

— Artelszczyków¹⁸ biją, towarzysze!

Na drodze Korotkowa przechodnie skręcali w bok i wpełzali do bram, wybuchały i gasły krótkie gwizdki. Ktoś wściekle parsknął, wołał i zapalały się niespokojnie ochryple krzyki: „trzymaj!”. Z drobnym grzmiotem opuszczały się stopy żelazne i jakiś kulawy, siedząc na linii tramwajowej, pisał:

— Zaczęło się!

Wystrzały mknęły teraz za Korotkowem częste, wesole jak pukawki na choince, i kule świstały to z boku, to z góry. Ryczący jak miech kowalski Korotkow mknął do olbrzymia — jedenastopiętrowego gmachu, wychodzącego boki na ulicę i fasadą na ciasny zaułek. Na samym rogu — szklany szyld z napisem „Restoran¹⁹ i piwo” trzasnął gwiazdą i sędziwy dorożkarz przesiadł się z kozła na jezdnię z mdlejącym wyrazem twarzy i słowami:

— Zdrowo! Cóż wy, bracie, w kogoś trafiło, znaczy się?

Wybiegający z zaułka człowiek usiłował schwycić Korotkowa za połą marynarki i poła pozostała mu w rękach. Korotkow skręcił za róg, przebiegł kilka sążni²⁰ i wbiegł w lustrianą przestrzeń westybulu. Chłopiec w galonach i złożonych guzikach odskoczył od windy i zapłakał.

— Siadaj, diadia²¹. Siadaj! — zaryczał — tylko nie bij sieroty!

Korotkow zanurzył się w pudełku windy, usiadł na zielonej kanapce naprzeciwko drugiego Korotkowa i zaczął dyszeć jak ryba na piasku. Chłopiec, łkając, wlaźł za nim, zamknął drzwi, ujął za sznur i winda pojechała do góry. I natychmiast w dole, w westybulu, zagrzmiały wystrzały i zakręciły się szklane drzwi.

Winda miękko i równo szła do góry, chłopiec, uspokoiwszy się, wycierał nos jedną ręką, a drugą przebierał sznur.

— Pieniądze ukradłeś, diadzieńka²²? — z ciekawością spytał, wpatrując się w zmodowanego Korotkowa.

— Kalsonera... atakujemy — dusząc się odpowiedział Korotkow — lecz on do ataku przeszedł...

— Tobie, diadzieńka, najlepiej by na samą górę, gdzie bilardowa — powiedział chłopiec — tam na dachu obronisz się, jeżeli z mauzerem.

— Dawaj na górę... — zgodził się Korotkow.

Po minucie winda gładko zatrzymała się, chłopiec otworzył drzwi i, pociągnąwszy nosem, rzekł:

— Wyłaż, diadzieńka, syp na dach...

¹⁷werszok — właśc. *werszek*; daw. ros. miara długości, wynosząca ok. 4,5 cm. [przypis edytorski]

¹⁸artelszczyk — spółdzielca, członek *artelu*, tj. spółdzielni, zrzeszenia drobnych producentów. [przypis edytorski]

¹⁹restoran (z ros.) — restauracja. [przypis edytorski]

²⁰sążeń — daw. miara długości, określana przez zasięg rozłożonych ramion dorosłego mężczyzny (inaczej *siąg*) i wynosząca ok. 1,7–2 m. [przypis edytorski]

²¹diadia (z ros.) — wujku. [przypis edytorski]

²²diadzieńka (z ros.) — wujaszku. [przypis edytorski]

Korotkow wyskoczył, obejrzał się i zaczął nasłuchiwać. Z dołu dobiegał wznoszący się gwar, z boku — stuk bil kościanych przez przegródkę szklaną, za którą migwały zaniepokojone twarze. Chłopiec czmychnął do windy, zamknął się i runął w dół.

Obrzuciwszy orlim spojrzeniem pozycję, Korotkow zawahał się na chwilę i z bojowym okrzykiem: „naprzód!” wbiegł do sali bilardowej. Zamigwały zielone place z błyszczącymi białymi kulami i poblądle twarze. Z dołu zupełnie blisko huknął z ogłuszającym echem wystrzał i z brzękiem gdzieś posypały się szyby. Zupełnie jak na sygnał gracze porzucali kije i gęsiego, kupiąc się, rzucili się do bocznych drzwi. Korotkow, rzuciwszy się za nimi, pozamykał drzwi na haczyk, z trzaskiem zamknął szklane drzwi wejściowe, prowadzące ze schodów do sali bilardowej, i momentalnie uzbroił się w bile. Minęło kilka sekund i obok windy wyrosła za szkłem pierwsza głowa. Bila wyleciała z rąk Korotkowa, ze świstem przeszła przez szkło, a głowa momentalnie znikła. Na jej miejscu błysnął błady ogień i wyrosła druga głowa, za nią trzecia. Bile poleciały jedna za drugą i popękały szyby w przegródce. Przetaczający się stuk okrył schody i w odpowiedzi, jak ogłuszająca maszyna Singera²³, zawył i zatrzęsł całym gmachem kulomiot. Szyby i ramy wycięło w górnej części jak nożem i tumanem pudru rozniósł się tynk po całej sali bilardowej.

Korotkow zrozumiał, że pozycji utrzymać nie sposób. Rozpędziwszy się, zakrywając głowę rękoma, uderzył nogami w trzecią ścianę szklaną, za którą zaczynał się płaski asfaltowy dach gmachu. Ściana rozleciała się i posypała. Korotkow pod szalejącym ogniem zdołał wyrzucić na dach pięć piramidek i rozbiegły się one po asfalcie jak odcięte głowy. W ślad za nimi wyskoczył Korotkow i akurat w porę, gdyż kulomiot wziął niżej i wyciął całą dolną część ramy.

— Poddaj się! — niewyraźnie dobiegło do niego.

Przed Korotkowem z początku otworzyło się mizerne słońce nad samą głową, błędnokie niebo, wiaterek i przemarzły asfalt. Z dołu i z zewnątrz miasto dawało znać o sobie niespokojnym, złagodzone gwarem. Poskakawszy po asfalcie i obejrawszy się, podchwyciwszy trzy bile, Korotkow podskoczył do parapetu, włożył na niego i spojrział w dół. Serce jego zamarło. Ukazały się mu dachy domów, wydające się przyplaszczonymi i malutkimi, plac, przez który pełzły tramwaje, i żuczki — ludzie, i natychmiast Korotkow rozpoznał szare figurki przetańcowujące do bram przez szczelinę zaułka, a za nimi ciężką zabawkę, usianą złotymi, błyszczącymi główkami.

— Otoczyli! — jęknął — straż ogniowa.

Przechyliwszy się przez parapet, wycelował i puścił jedną za drugą trzy bile. Wzniosły się, potem, zakreśliwszy łuk, runęły w dół. Korotkow podchwycił jeszcze jedną trójkę, znów włożył i z rozmachem wyrzucił i je. Bile błysnęły jak srebrne, potem, obniżywszy lot, zamieniły się w czarne, potem znów zabłysnęły i znikły. Korotkowowi wydało się, że żuczki zabiegały niespokojnie na zalanym przez słońce placu. Korotkow nachylił się, ażeby pochwycić jeszcze porcję pocisków, lecz nie zdążył. Z niemilkącym chrzęstem i trzaskiem szyb w wyłomie sali bilardowej ukazali się ludzie. Sypali się jak groch, wyskakując na dach. Wybiegły szare czapki, szare szynele, a przez górną szybę, nie dotykając ziemi, wyleciał alpagowy staruszek. Potem ściana rozpadła się zupełnie i groźnie wytoczył się na wrotkach straszny ogolony Kalsoner z starożytnym muszkietonem w rękach.

— Poddaj się! — zawył z przodu, z tyłu i z góry, i wszystko pokrył nie do wytrzymania ogłuszający rondlowy bas.

— Rozumie się — słabo zawołał Korotkow — rozumie się. Bitwa przegrana. Ta-ta-ta! — zaśpiewał ustami pobudkę trąbkową.

Odwaga śmierci wtargnęła do duszy jego. Czepiając się i balansując, Korotkow wdrapał się słup parapetu, zachwiał się na nim, wyprostował i krzyknął:

— Lepsza śmierć niż hańba!

Prześladowcy znajdowali się o dwa kroki. Korotkow widział już wyciągnięte ręce, już wyskoczył płomień z ust Kalsonera. Słoneczna przepaść wabiła Korotkowa, tak że mu tchu zbrakło. Z przejmującym zwycięskim okrzykiem podskoczył i wznosił się do góry. Momentalnie zaparło mu oddech. Niewyraźnie, bardzo niewyraźnie widział, jak szare z czarnymi dziurami, jak od wybuchu, wleciało obok niego do góry. Potem bardzo wyraźnie zobaczył, że szare upadło w dół, a sam on podniósł się do góry ku wąskiej

²³maszyna Singera — daw. maszyna do szycia poruszana pedałem. [przypis edytorski]

szczelinie zaułka, która okazała się nad nim. Potem krwawe słońce z dzwonieniem pękło mu w głowie i więcej zupełnie nic nie widział.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bulhakow-diaboliada>

Tekst opracowany na podstawie: Michaił Bułhakow, Fatalne jaja, tłum. E. Jeziński, Biblioteka Nowości w Warszawie, wyd. Stanisław Cukrowski, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Anna Gruhn, Camelek AmigaRulez, J. Pszeniczn, krst, Rafał, Pagrus, Wdzięczny, Swietłana Pawłowska, Judyta Szykarczyn, Agata, Lewis.

ISBN 978-83-288-0117-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.